

# PRAWDZIWE KOSZTY SZPARAGA

Korespondent „Tygodnika” zatrudnił się na niemieckiej farmie szparagów. W tym świecie Polacy i Rumuni są obywatelami drugiej kategorii.

TEKST I ZDJĘCIA ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BRANDENBURGII





**S**ZPARAGI TO JEDNO Z NIEMIECKICH WARIETW. Jeszcze marcowe chłody nie zdążą odpuścić, a już zaczyna się odkurzanie przepisów i wypytywanie w sklepach. Przeciętny Niemiec zjada w sezonie 1,7 kg szparagów.

Niemcy kochają jeść „króla wszystkich warzyw”, jak pisał o szparagu narodowy poeta Johann Wolfgang Goethe. Ale za żadne skarby nie chcą go zbierać. To bez dwóch zdań ciężka praca. W słońcu, deszczu i błocie, od rana do wieczora w zgieciu. Każdy pęd trzeba wyciąć i wyciągnąć z ziemi ręcznie. To zajęcie dla obcokrajowców, np. Rumunów i Polaków, którzy przyjeżdżają tu w sezonie, zachęceni przez korzystny, wysoki kurs euro.

Losy cudzoziemców na niemieckich polach stały się tematem publicznym wraz z wybuchem epidemii. W marcu 2020 r. polski rząd zamknął granicę z Niemcami, ale Niemcy nie zdecydowały się na taki krok. Powód? Pracownicy sezonowi. Zbliżał się kwiecień i trzeba było zaczynać zbiory. Z kolei Rumunów niemieccy przedsiębiorcy rolni sprowadzali czarterowymi samolotami. 11 kwietnia tamtego roku 57-letni Rumun zmarł po zejściu z pola w miasteczku Bad Krozingen, w Badenii-Wirtembergii. Potwierdzono u niego COVID-19.

W tym roku postanowiłem zatrudnić się na tydzień na jednej z największych plantacji szparagów, aby przekonać się, na jakie warunki mogą liczyć pracownicy sezonowi z Rumunii i Polski. Wybrałem firmę, która – sądząc po tysiącach komentarzy w internecie – od kilkunastu lat cieszy się popularnością wśród rodaków. To zarazem jedyna z wielu firm, do jakich dzwonię, która przed zatrudnieniem nie chce ode mnie absolutnie niczego. Rozmowa rekrutacyjna trwa kilka minut. Potrzebne kwalifikacje? Wystarczy, że mówię po polsku. Jedyne pytanie z haczykiem pada na koniec: – Wie pan, że to ciężka praca?

Potwierdzam.

– To niech pan przyjedzie w piątek.

### Podpis w ciemno

Moje nowe miejsce pracy znajduje się 80 km na zachód od Berlina. Trzeba na własny koszt dojechać do gospodarstwa położonego wśród pól i lasów. Podróżuję z jedną dużą torbą sportową, do której

pakuję niezbędne rzeczy: ubrania, talerz, garnek, patelnię, sztućce, jedzenie i kalosze.

Na miejsce dojeżdżam w piątek po południu. Wchodzę po schodkach do sali, gdzie po wypełnieniu kilku dokumentów meldunkowych polska pracownica firmy przynosi umowę. Nie mogę przeczytać jej treści. Kobieta uchyla tylko skrawek papieru i pokazuje palcem, gdzie mam podpisać. – I jeszcze tu, i tu, i tu – wskazuje na kolejnych stronach. Na koniec wrywa i wręcza mi tylko ostatnią stronę. To aneks, z którego wynika, że „wynagrodzenie w wysokości 1406 euro brutto zostanie zagwarantowane”.

Następnie zostają poinformowany, że przez dziesięć dni będę znajdował się w grupowej kwarantannie, i że oprócz czasu pracy nie mogę opuszczać hotelu pracowniczego. Na koniec dostają trzy maseczki w kopercie i małą butelkę z płynem dezynfekującym.

Początkowo wygląda to, jakby firma dbała o ochronę pracowników przed epidemią. Wtedy nie wiem jeszcze, że w drugim zakładzie tego samego przedsiębiorstwa brytyjski wariant koronawirusa dosłownie dziesiątkuje już pracowników sezonowych.

### Wciąż nic nie czuję

Kierowca zabiera mnie do domku, w którym zatrzymam się przez nadchodzące siedem dni. Trzy takie domki, szeregowce, stoją w lesie. Wchodzę do małego pokoiku na parterze. Jest duszno i śmierdzi paszтетem. Mój współlokator ledwo co wrócił z pola, wyciągnął spod łóżka słoik z własnymi wyrobami, chleb tostowy z lodówki i zabiera się za jedzenie. Kolejne kanapki przepijam piwem z pobliskiego supermarketu. – Tadek – rzuca w przerwie pomiędzy przełykaniem. – Ty śpisz po drugiej stronie – pokazuje. – Tam wcześniej leżał gość, który zachorował na covid – mówi [imiona bohaterów tekstu, robotników sezonowych, zostały zmienione – red.].

Współlokator tłumaczy, że mój poprzednik przyjechał do pracy z fałszywym testem na koronawirusa. Po jakimś czasie zaczął się źle czuć, nie mógł wstać z łóżka. W końcu poprosił o zrobienie testu. Wynik był pozytywny. Tadek ciągnięty z pola. Obaj trafili na kwarantannę. Firma nie przetestowała jednak innych pracowników, z którymi Tadek

*Pracownicy sezonowi na polu szparagów w Brandenburgii. Niemcy, maj 2021 r.*

→ i jego były współlokator codziennie się spotykali: w pokojach, na korytarzach, w łazience i autobusie.

Mężczyźni leżeli przez dziewięć dni w oddzielnych pokojach. Tadek stracił wdech i był słaby, ale kolejne testy dawały wynik negatywny. Najgorsze w tym wszystkim dla niego było to, że – jak wspomina – nie mógł pracować. Bo zasady są takie: nie pracujesz, nie zarabiasz. Firma opłacała przez ten czas tylko tzw. socjal, czyli 9,80 euro, które normalnie pracodawca potrąca za dobę pracownikowi, za mieszkanie i obiad.

Po opowiedzeniu covidowej historii Tadek demonstracyjnie przykłada nos do butelki piwa. – Nadal nic nie czuję – mówi.

Wieczorem udaje mi się zabrać z dwoma polskimi pracownikami do supermarketu. Łamię zakaz opuszczania hotelu pracowniczego, bo nikt tego nie pilnuje, a po drugie mam ważny powód: zapomniałem spakować kubek i klapki.

Wracając, znajdujemy się na drodze, na której prawy pas zarezerwowany jest dla autobusów. Kierowca rozpędza starego volkswagena i szybko wyprzedza buspasem auta jadące przepisowo po lewej stronie. – Jebani Niemcy, im się nie śpieszy, nie muszą harować tak jak my – rzuca.

Gdy dobijamy do setki, widać w oddali, że na naszym pasie stoi zaparkowane auto, a na lewym wciąż są inne pojazdy. Kierowca hamuje ręcznym, prawie wpadamy w poślizg, ale udaje się nam zmieścić w lukę między pasami. – Nie mam sprawnych hamulców, zawsze muszę hamować ręcznym – zdradza mi z rozbawieniem kierowca.

### Dzień pierwszy

Wcześniej praca przy szparagach kojarzyła mi się wyłącznie z wysiłkiem na polu. Teraz przekonuję się, że wycięcie i wyjęcie szparaga z ziemi to dopiero początek.

Skrzynki, wypełnione długimi pędami, są przywożone do głównej siedziby firmy. Zanim trafią na halę, muszą zostać włożone do wanien. Właśnie tam tzw. grupy wysyła mnie na pierwsze trzy dni. To oczywiście złamanie zasady kwarantanny grupowej, o której informowano mnie poprzedniego dnia.

Zaczynam 1 maja. Moje nowe miejsce pracy znajduje się bezpośrednio przy głównej hali zakładowej. Na zadaszo-

nym placu ustawionych jest ok. 200 dużych metalowych wanien. W każdej mieści się 18 skrzynek ze szparagami. Każda skrzynka waży 20-25 kilo. W sumie w jednej wannie mieści się ok. 400 kg szparagów.

Szparagi, które przyjeżdżają do zakładu, trzeba najpierw zeskanować, a później ręcznie włożyć do wanien, które następnie zalewa się wodą. Po jakimś czasie, zwykle po kilku godzinach, wodę z wanien się wylewa, a skrzynki trzeba wyciągnąć, ułożyć na palecie i zawieźć wózkiem widłowym na halę. Tam warzywa są sortowane przez pracowników stojących przy linii produkcyjnej.

Zaczynam o szóstej rano. Przez pierwsze pół godziny sprzątam resztki szparagów, które leżą obok wanien. Gdy przychodzi mój zespół, dziewięciu postawnych Polaków, bez wstępnych ceregieli bierzemy się za wyjmowanie skrzynek, które zalano wczoraj. Dwóch starszych Rumunów, którzy przyjechali ze mną rano do pomocy, rezygnuje już po paru minutach. Jest za ciężko, boli ich brzuch – sygnalizują rękoma. Chcą na pole. Wanniarze patrzą na nich z pogardą, jak odchodzą po krótkiej rozmowie z grupowym.

Staram się pracować jak najszybciej, ale i tak zwalniam pracę kolegów, którzy każdy ruch mają doskonale przeciwi-czone. Wszystko „siedzi”. Kolejne palety zapełniają tak dokładnie, jakby grali w „Tetrisa”. Puste wanny trzeba zamknąć. Nad głowami latają kilkumetrowe ciężkie blachy. Nikt nie nosi ubrań ochronnych, tylko kalosze i białe gumowe fartuchy.

### Nie wiem, ile zarabiam

Po wypakowaniu ośmiu wanien mężczyźni zabierają mnie do swoich mieszkań.

Wanniarze mieszkają w budynku zaraz obok zakładu. Dlatego na trochę dłuższe przerwy schodzą do pokojów, czyli do „Patologii”, bo taki niechlubny przydomek nadano temu miejscu już lata temu. Nie muszę długo czekać, żeby przekonać się, dlaczego.

Pierwsza przerwa to dla niektórych okazja, żeby napić się wódki Gorbatschow. Lokator pokoju, w którym siedzimy, puszcza na cały regulator remiks francuskiego didżeja Davida Guetty. Techno i kilka szybkich kolejek. Jest siódma rano.

Wracamy do pracy. Po paru godzinach wkładania i wykładania podchodzi do mnie grupowy. Pyta, czy zostanę z nimi na dłużej. – Poradzisz sobie. I lepiej zarobisz niż na polu – mówi. Lepiej, czyli ile? – Chłopaki wyrabiają nawet 500 euro na tydzień.

W pierwszej chwili brzmi to dobrze. Ale tu pracuje się siedem dni w tygodniu i – jak się okaże jeszcze tego dnia – przeciętny dzień roboczy to praca od świtu do zmierzchu.

Przez cały dzień dostają sprzeczne informacje co do zarobków. Jeden z kolegów zapewnia, że za dziś każdy dostanie nawet ponad 100 euro. – Już dwa tygodnie tu pracuję i jeszcze nie widziałem żadnego rozliczenia. Tak naprawdę to nie wiem, ile zarabiam – wyznaje drugi. Oficjalnie każdy z grupy dostaje 35 euro dniówki, a reszta to akord grupowy, który jest dzielony po równo. Tyle ton, ile uda nam się przerobić, tyle dostaniemy. Dla tego nie ma mowy, żeby ktoś pracował wolno.

Mijają godziny. Wkładanie, zalewanie, wykładanie. I krótkie przerwy na papierosa pomiędzy. Skrzynki wydają się coraz cięższe. Około osiemnastej z hali wychodzą pracownicy, ale my pracujemy dalej. Przyjeżdżają kolejne busiki ze szparagami, a wieczorem ma podjechać jeszcze tir.

Dołącza do nas trzech młodych Rumunów. Ci nie boją się ciężkiej pracy. Komentarze polskich kolegów są dla nich bardziej łaskawe niż dla dwójki, która uciekła stąd rano.

O dwudziestej zaczyna mi brakować sił. Pracujemy już 14 godzin, nie licząc krótkich przerw. Zauważa to grupowy. – O, Łukasz to chyba jutro do nas nie przyjdzie – śmieje się.

Około dwudziestej pierwszej przyjeżdża autobus, którym jadę na kwatere.

### Szparagowa mantra

Drugiego dnia idzie mi już lepiej. Przyzwyczajam się do hałasu, który panuje „na wannach”. Leżąca się w węży woda, głośne maszyny z hali, krzyczący pracownicy, podjeżdżające busy i tiry. A do tego muzyka, miks disco polo, techno i rapu.

W godzinach popołudniowych grupowy wysyła nas na przerwę. Musimy poczekać, aż przyjedzie kolejna ciężarówka. Dwóch młodszych, dwudziestoparolennych chłopaków zabiera mnie do swojego





Korespondent „Tygodnika” na swojej kwaterze. Brandenburgia, maj 2021 r.

pokoju. Przed wejściem zdejmujemy kalosze i padamy na łóżka i krzesła.

Do pokoju schodzi się część naszej ekipy. Pomieszczenie pachnie grzankami z serem, które pieką się w tosterze. Gospodarze robią kawę, częstują piwem, kładą na stół ciasteczka. Panuje błoga cisza i moment wytchnienia. Grupowy ma wycucie. Dzwoni dopiero, gdy piwo i kawa są już wypite. – Wracajcie, trzeba rozładować tira.

Kolejne tony szparagów. Pod koniec rozładunku niemiecki kierowca pokazuje na zegarek i mówi „Pause”. Robert, z którym rozładujemy tira, rzuca w kierunku kierowcy wiązanek polskich przekleństw. – Ja ci dam *pause!* – kończy. Robert chce, żeby kierowca poczekał, aż skończymy, i dopiero wtedy odjechał.

Dwa światy. W jednym jest porządek i święte prawo do przerwy w określonym czasie. W drugim wszystko jest

podporządkowane pracy i tonazowi. Więcej i szybciej wypakujemy, więcej zarobimy. Na „*pause*” nie ma czasu. Z wielu ust przez cały tydzień słyszę szparagową mantrę: „Polak musi zapierdalać”. Oraz: „Jak nie będziesz harował, to nie zarobisz”.

Podczas pracy widzę, jak różne podejścia mają członkowie naszej grupy. Jeden regularnie łamie szparagi i rzuca główkami w kolegów. Drugi schyla się na samo dno wanny, żeby wyjąć pojedynczy pęd. Pokazuje mi i wypowiada z przekonaniem jedno słowo: „Pieniądże”. Następnie starannie odkłada warzywo do skrzynki.

Większość wanniarzy przyjeżdża tu od lat. Nowy Polak to rzadkość. Na hali, ale i w polu, z roku na rok widać efekt 500 plus. Ubywa Polaków, a przybywa Rumunów. Oprócz kierowców tirów nie spotykam żadnego Niemca.

Zresztą pod względem porządku zakład też jest mało niemiecki. Raczej na myśl przychodzi mi zwrot „*polnische Wirtschaft*”. W języku niemieckim termin „polska gospodarka” oznacza złą organizację. Tutaj tak jest. Wszystko chaotyczne, na hali wciąż nie ma miejsca na nowe palety, przerywamy w połowie wyciąganie, żeby rozpocząć wkładanie nowej serii skrzynek. I ciągle powtarzają się pytania, z którego pola towar zalewamy. Nikt do końca nigdy nie jest tego pewien. W końcu najczęstszą odzywką na wianach jest „wyjebane”, któremu towarzyszy wzruszenie ramion.

### Plastikowe morze

We wtorek mogę w końcu iść na pole.

Nieśmiało liczę, że cięcie szparagów będzie mniej męczące od przenoszenia skrzynek. Razem z Tadekiem wstajemy o 5.30 – kawa, kromki z marmoladą.

Tadek zabiera się za ostrzenie noża. Pokazuję mu moje dwa noże. – Ten jest do niczego. Z tego ewentualnie może coś być – ocenia. Zamiast ostrzenia, przygotowuję sobie jeszcze kanapki i wlewam wodę do butelki. – Nie bierzesz wody? – pytam Tadeka. – Na polu nie ma czasu pić – odpowiada.

Jedziemy autobusem ok. 25 minut, aby zatrzymać się przy polach obok marketu, w którym byłem pierwszego dnia na zakupach. Koledzy niemal wybiegają z autobusu, od razu znajdują swoje „rajki” – jak z niemiecka nazywają rzędy (niem. *Reihe* – rząd) i biorą się za uruchamianie maszyn SpargelSpinne, czyli szparagowych pajaków. W końcu to praca na akord. Ile zbierzesz, tyle zarobisz.

Rozglądam się za grupowym, ale ten idzie w swoim kierunku. Staram się więc wyłapać wzrokiem kogokolwiek, kto pokaże mi, co robić. – Chodź tu – mówi starszy mężczyzna. Na pytanie o imię nie ma czasu. Mężczyzna pokazuje w pośpiechu, co trzeba robić z foliami. Najpierw czarną przeciągnąć przez maszynę, następnie białą. Obie folie zawiązać wokół drewnianego paliaka. – Tu się włącza i wyłącza maszynę, tu reguluje się prędkość, tu można ją zatrzymać – instruuje w pośpiechu. W końcu przychodzi do prezentacji cięcia szparagów. – Robisz tak, tak i tak.

Kilka ruchów nożem i mężczyzna trzyma w ręku trzy wycięte szparagi, które wrzuca do mojej skrzynki. Dziury zasypuje ziemią i wygładza tzw. pacą, →

→ którą każdy z nas trzyma w ręku oprócz noża. – Dobra, radź sobie, muszę do mojej rajki – mówi. I tak poświęcił mi blisko dziesięć minut.

Po krótkim czasie widzę, jak pająki innych pracowników zaczynają się ode mnie oddalać. Z czasem różnica się powiększa. Po pół godzinie jestem już sam na szparagowym morzu. Wszystko wokół mnie jest białe od folii. Praca na wanny i na hali to praca zespołowa. Pole jest dla indywidualistów. Jesteś sam na sam ze swoją rajką.

### Dźwięk ostrzałki

Największy problem na początku to ciąć szparaga tak, żeby był odpowiednio długi, i żeby go nie złamać palcami przy wyciąganiu. Poza tym już samo jego znalezienie nie jest proste. Pogoda nie dopisuje, jest zimno i warzywa niechętnie wyściubiają główki spod ziemi. Żeby je znaleźć, trzeba często dokładnie przegrzebać palcami górną warstwę gleby.

Z pierwszej rajki zbieram tylko dwie skrzynki, na które naklejam mój kod i oddaję kierowcy. Maszynę trzeba przemieścić na kolejną rajkę i praca zaczyna się od nowa.

O godzinie 11.20 autobus zabiera nas z pola. Jedziemy do mieszkań na obiad. Od siódmej tylko kilka razy zatrzymałem się, by napić się wody; kanapek nie ruszyłem. Jestem głodny. Ustawiam się w kolejce i widzę, że znów popełniam amatorski błąd. W ręku trzymam talerz. Prawie wszyscy przychodzą z garnkiem, gdzie zmieści się więcej jedzenia. Makaron, sos, sałatka, dwa kotlety. Jemy łączywie w pokoju.

Tadek zdąży załapać się na repetę. Po tem wykorzystuje wolne minuty, by znów naostrzyć nóż. Zresztą dźwięk ostrzałki towarzyszy przez cały dzień. Na polu trzeba ciąć celnie i sprawnie. Dlatego wolne chwile w autobusie, po przebudzeniu i przed pójściem spać mężczyźni poświęcają na ostrzenie najcenniejszego narzędzia.

### 40 euro dniówki

Następnego dnia po pobudce już sam biorę ostrzałkę i ostrzę nóż.

Niestety, na polu nie idzie mi dużo lepiej. – Co to za szrot zbierasz? To jest wszystko za krótkie! – grupowy wyciąga szparagi z mojej skrzynki. – Kupiłbyś, kurwa, coś takiego? – pokazuje na zbyt krótkiego szparaga. – No, nie kupiłbyś! –

nie zostawia wątpliwości. – Jutro zostaniesz w pokoju – zapada wyrok.

Grupowy nie cieszy się popularnością. Promuje swoich ludzi, a tych, których nie lubi, potrafi bez powodu wysłać nie tylko na dzień do mieszkania, ale i do Polski. Jest królem pola.

– To pokaż, jak się tnie – mówię do niego. Grupowy bierze nóż i tłumaczy: – Wsadzasz nóż za blisko szparaga, musisz robić większy odstęp – pokazuje i za każdym razem wyciąga długie ładne warzywo.

Po instruktażu idzie mi lepiej. Grupowy zjawia się znów po godzinie. – Nooo... Jak chcesz, to jednak potrafisz – mówi, patrząc na moją skrzynkę. – Może jednak z nami zostaniesz? – śmieje się. Tani, ale komplement grupowego poprawia mi humor.

Chwilę przed siedemnastą kończę ciąć. Szef wysyła mnie jeszcze, żebym poprawił folię na innych rajkach. – A kto mi za to zapłaci? – myślę. Na polu jest sporo zajęć, które wykonujemy bezpłatnie. Przygotowanie maszyn, a zwłaszcza ciągle poprawianie folii to nawet dla doświadczonych zbieraczy przynajmniej godzina pracy, za którą nie dostają pieniędzy. Firma płaci tylko za to, co znajduje się w twojej skrzynce.

Tego dnia znów zbieram ok. 80 kilo. Za kilogram szparagów możemy dostać od 43 do 50 eurocentów, w zależności od pogody. W moim przypadku wychodzi ok. 40 euro za cały dzień pracy. Doświadczeni szparagowcy tną po kilkaset kilo. Choć na liście z dniówkami są i tacy, którzy nie zarobili wiele więcej ode mnie. – Byłoby euro za kilogram, to człowiek mógłby sobie w spokoju naciąć – przekonuje Tadek, gdy wieczorem siedzimy w pokoju.

W tym sezonie za kilo szparagów niemiecki klient musi zapłacić od prawie 7 euro (duży market) do kilkunastu (mniejsze biosklepy).

### Maski na brodach

Przepisy, które mają zapobiegać epidemii, istnieją tylko w licznych regulaminach, które porozwieszano na drzwiach naszych pokojów. W rzeczywistości nikt się do tego nie stosuje, a grupowi nie zwracają na to większej uwagi.

Objawów się nie zgłasza, bo nikt nie chce wylądować na kwarantannie. Mężczyźni nie przyjechali tutaj siedzieć w pokojach, tylko zarabiać. Są zdeterminowani. Korona im w tym nie przeszkodzi.

A pozornie objawy słychać wszędzie. Tadek w pierwszą noc kaszle tak głośno, że nie mogę zasnąć. Także inni pracownicy kaszlą, co słychać przez cienkie ściany. Tylko ciężko stwierdzić, czy to od pyłu z pola, od papierosów czy od korony. A może od wszystkiego naraz? Koronawirus to dla pracowników raczej temat do żartów, a nie realne zagrożenie. Jak ktoś zaczyna kaszleć, zaraz słychać żartobliwe: „Co, korona?”. Albo: „Ty mutancie!”.

Najgorzej jest w autobusach, gdzie pracownicy albo nie noszą masek w ogóle, albo mają je na brodzie. W środę przed południem moja grupa wsiada do autobusu, żeby pojechać na przerwę. Po chwili zwracamy – grupie rumuńskiej zepsuł się autobus i musimy ich zabrać.

Przypominam sobie, że teoretycznie pracownicy powinni pracować i przebywać tylko w ściśle określonych grupach. Tymczasem od pierwszego dnia pracowałem najpierw przez trzy dni z jedną grupą, później z drugą, a w pokojach spotykałem ludzi, którzy pracowali jeszcze w innych miejscach.

Teraz do naszego autobusu wsiada kolejnych 30 osób z innej grupy. – Maski ubierać, kurwa, maski! – krzyczy grupowy, który sam nie ma zasłoniętych ust i nosa. – Maski albo „nach Romania” – wrzeszczy do Rumunów. Niektórzy zakładają, niektórzy nie. Jedziemy.

### Uwięzione

Mężczyźni może nie byłoby tak lekko-myślni, gdyby wiedzieli, co w tym samym czasie dzieje się w drugiej siedzibie firmy, położonej w centralnych Niemczech. Sam więcej dowiaduję się dopiero po tym, jak zakończę pracę.

Tam jeszcze na przełomie kwietnia i maja covidem zakaziła się grupa ponad stu pracowników. Osoby mające kontakt z zakażonymi trafiły do tzw. kwarantanny pracowniczej, czyli mogły poruszać się tylko między mieszkaniem a miejscem pracy. Polki pracujące na hali zaczęły się buntować. – Boimy się zakażenia i nie chcemy więcej pracować na hali – mówi mi przez telefon Maria.

Przez ponad dwa tygodnie kobiety nie chciały opuścić swoich pokojów i czekały na możliwość powrotu do kraju. Firma wynajęła ochroniarzy, którzy nie pozwalali nikomu opuścić kwatery. Także tym z wielokrotnymi wynikami negatywnymi. – Tu jest jak w obozie. Tylko psów brakuje – mówi Maria.

**SEZON 2021**

**ROZLICZENIA TYLKO W PIĄTKI**

DATA	WYKONANIE	WYKONANIE	WYKONANIE
01.05.2021			
02.05.2021			
03.05.2021			
04.05.2021			
05.05.2021			
06.05.2021			
07.05.2021			
08.05.2021			
09.05.2021			
10.05.2021			
11.05.2021			
12.05.2021			
13.05.2021			
14.05.2021			
15.05.2021			
16.05.2021			
17.05.2021			
18.05.2021			
19.05.2021			
20.05.2021			
21.05.2021			
22.05.2021			
23.05.2021			
24.05.2021			
25.05.2021			
26.05.2021			
27.05.2021			
28.05.2021			
29.05.2021			
30.05.2021			
31.05.2021			

**ZALICZKI TYLKO W CZWARTKI**

Z rozmów telefonicznych z kolejnymi Polkami, które przebywały na kwarantannie, dowiaduję się, że tiry, które rozładowywałem wieczorami, to efekt zamknięcia hali w drugim zakładzie z powodu masowych infekcji.

Przy pomocy polskiego konsula Pawła Jaworskiego grupie ok. 30 kobiet udaje się w połowie maja wyjechać do Polski. „Nigdy więcej” – mówią na pożegnanie do kamer telewizyjnych, które filmują zdarzenie.

Ale część kobiet zostaje. A wirus nie ustępuje. Agnieszka, z którą rozmawiam pod koniec maja, poddaje się testowi na dzień przed planowanym wyjazdem. Jest pozytywna. Zaczyna się dramatyczny przebieg choroby. – To jest nie do opisania. Miałam problemy z oddychaniem, byłam bardzo słaba. Bolały mnie wszystkie mięśnie, palce, opuszkami palców. Z trudem korzystałam z telefonu – opowiada.

Mówi też o koleżankach, które trafiły do szpitala, i jednej z grupowych, która w wyniku infekcji miała zapaść w śpiączkę. – Mam niestety inne problemy zdrowotne: z sercem i z ciśnieniem. Nie wiem, jak to się skończy. Chcę już tylko wyjechać – kończy Agnieszka. Kwarantanna, w której przebywa wraz z ponad 50 pracownikami, ma potrwać przynajmniej do 7 czerwca.

### Czas wypłaty

Wieczorami, leżąc na łóżku, skrupulatnie notuję godziny pracy.

Trzy dni „na wannach” i dwa dni „na polu”. Po odliczeniu przerw wychodzi 49 godzin i 40 minut. W aneksie do umowy, który dostałem pierwszego dnia, czytam, że „wysokość wynagrodzenia będzie codziennie podawana do wiadomości pracownika”.

## Proszę o kopię umowy i rozliczenia.

„Nie wydajemy – pada odpowiedź. – Jak pan chce, proszę znaleźć kogoś, kto mówi po niemiecku i zgłosić się do niemieckiego biura”.

W rzeczywistości jest inaczej. Podczas pracy „na wannach” otrzymuję tylko strzępki informacji, żadnych konkretów o wynagrodzeniu za przepracowany poprzedni dzień. Informację o wynagrodzeniu za zebrane na polu kilogramy powinienem dostać następnego dnia. Ale na wydrukowanej tabelce z liczbą kilogramów i wynagrodzeniem brakuje mojego nazwiska. – Jakiś błąd w systemie, bo pracowałeś przez pierwsze dni gdzie indziej – przekonuje grupowy.

Moja nieufność rośnie, gdy w czwartek wieczorem, dzień przed rozliczeniem i wyjazdem, dostaję do podpisania listę z przepracowanymi godzinami. W dokumencie nic się nie zgadza. Godziny są wyssane z palca. – To się nigdy nikomu nie zgadza – mówi pracownik, który przyniósł papier. Nie zgadza się, ale trzeba podpisać.

W piątek przyjeżdżam do biura, spakowany i gotowy do podróży powrotnej. Na schodkach do pokoju, gdzie wypłacane jest wynagrodzenie, czeka kolejka. Głównie młodzi Rumunii, przebrani już w sportowe bluzy i modne wąskie jeansy. Na zewnątrz czekają na nich busy na rumuńskich numerach. Od rana pada deszcz, jest zimno. Co rusz ktoś odchodzi od blatu z plikiem banknotów i z ulgą na twarzy.

W końcu przychodzi kolej na mnie. „Łukasz Grajewski” – mówię. Kobieta przysuwa mi pod oczy tabelkę, z której powinno wynikać, ile i za co zarobiłem. Tak jak w pierwszy dzień, od razu wskazuje, gdzie mam podpisać. Niewiele rozumiem z tabelki, którą widzę pierwszy raz, ale jedno jest pewne: brakuje wypłaty za poniedziałek, gdy pracowałem od siódmej do dwudziestej. Cała kwota do wypłaty to mniej niż 200 euro za tydzień harówek.

– Tu się chyba coś nie zgadza – mówię. Kobieta każe mi poczekać. W międzyczasie widzę, jak kolejni pracownicy podpisują bez komentarza, biorą gotówkę i wychodzą na parking. Nikt nie sprawdza oświadczenia, cała procedura zajmuje chwilę.

### Bez przejrzystości

Po dziesięciu minutach kobieta wręcza mi nowe rozliczenie. – Faktycznie, jakieś nieporozumienie – rzuca niewinnie. Sprawdzam. Nie jestem pewien co do rozliczeń za każdy dzień. Jak zresztą miałbym to teraz sprawdzić. Za mną czekają kolejni, którzy chcą odebrać pieniądze i wyjechać. Podpisuję i dostaję 226 euro i 75 centów. To równowartość ok. 1020 złotych. W zasadzie zarobiłem 70 euro więcej, ale firma potrąca tę sumę za nocleg i jedzenie.

Proszę o kopię umowy o pracę i rozliczenia. – Nie wydajemy – mówi pani z przekonaniem. Nalegam. – Wie pan, pan jest wolnym człowiekiem, jak pan chce, to proszę znaleźć kogoś, kto mówi po niemiecku i zgłosić się do niemieckiego biura. Do widzenia, następny.

W przeliczeniu na przepracowane godziny zarobiłem ok. 6 euro netto za godzinę. Pensja minimalna wynosi w Niemczech 9,50 brutto za godzinę. Czy firma przy umowie sezonowej ma po swojej stronie koszty, które pochłaniają 3,5 euro? To wątpliwe, bo firmy zatrudniające w Niemczech pracowników sezonowych nie muszą ich nawet ubezpieczać. Nie mam jednak dowodów, bo nie dostałem ani umowy, ani rozliczenia, dzięki którym mógłbym to sprawdzić. Nie wie tego też żadna z blisko 30 osób, z którymi rozmawiałem podczas tygodniowego pobytu i potem, telefonicznie, już po opuszczeniu gospodarstwa.

Brak przejrzystości to klucz działania jednej z największych niemieckich firm uprawiających szparagi, której warzywa trafiają do głównych sieci supermarketów. Pracownik sezonowy jest tu od harowania, a nie zadawania pytań. Po otrzymaniu wypłaty nie powinien zgłaszać problemów. Ewentualne poczucie niesprawiedliwości pracownik powinien wsadzić głęboko do swojej podróżnej torby, zapakować ją do busa i wywieźć daleko do swojej ojczyzny. Pracodawcy to nie interesuje. On płaci tylko za zebrane szparagi.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Współpraca: JONAS SEUFERT